№ 44. Warszawa, dnia 19 (31) Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 75.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

KWESTYA OŚWIATY

KLASS PRZEMYSŁOWYCH.

Taki jest stan przemysłu naszego, jakiém jest wychowanie i wykształcenie naszych klas roboczych, o tém wiemy pono wszyscy potrochu. Pod cywilizacyjnym i moralnym względem jest to jedna z najdotkliwszych ran naszych. Nie śmiemy i nie miejsce tu po temu wyliczać wady i niedostatki téj części społeczeństwa; powiemy tylko, że nam jeszcze wiele potrzeba, aby dorównać jeśli już nie czynem, to przynajmniéj dobremi chęciami przemysłowéj oświacie Niemiec, Anglii i Francyi. Jesteśmy społeczeństwem uposażoném wcale nie gorzéj od innych pięknym i szerokim darem przyswajania sobie owoców cywilizacyi; jesteśmy społeczeństwem, które gdyby zechciało, mogłoby pójść w zawody z najlepszemi Europy pierwiastkami. Przysłowiowy ów zarzut, że jesteśmy jakoby społeczeństwem niezdolném zgoła do pracy, porządku, zgody i wytrwałości, jest karygodną bredinią, powtarzaną nawet przez nas samych, a paraliżującą w gruncie najlepsze chęci tych, co jeszcze pracować pragną. Są wieki, są dziesiątki lat, w których się różne przechodzi koleje; czasy obecne są przeciwnie jasnym jak słońce dowodem, że co zaległo, chętnie odrobić pragniemy. Oczywiście, wedle stawu grobla, i nie od razu też cała niwa nasza znajdzie swego robotnika. Ale chęci są, popęd jest, a to wystarczy. W tém położeniu rzeczy powinnością jest naszą podążać energicznie, trzeźwo a ochoczo za drugimi, mianowicie za tém mnóztwem znakomitych przykładów, jakie nam zagranica daje z siebie secinami, a tak nie trudno będzie udeptać sobie własne ścieżki postępu.

Jedną ze spraw pierwszorzędnych, gniotących zarówno sumienie jak i materyalny byt nasz, jest sprawa przemysłu i klas przemysłowi oddanych— słowem, kwestya oświaty naszych rękodzielników i przemysłowców. Wiek XIX zmienił nam stan rzeczy do niepoznania. Wszystko ruszyło szparko naprzód. Naprzód ruszyły umiejętności, naprzód szkoły, naprzód pojęcia, naprzód odkrycia, wynalazki, uproszczenia w pracy i myśli— ale najszybszym krokiem poszły rzemiosła i cały w ogóle przemysł rękodzielniczy. Ale bo i grunt pod niego uprawiają ludzie umiejętnie, systematycznie, oględnie, i co najważniejsza, pieczołowicie. Rządy i ludy podają tu sobie ręce, i jak kto może, kładzie cegiełki do podniesienia poziomu wszystkich bez wyjątku warstw społeczeństwa. Zaczęto od reformy szkół elementarnych. Postrzeżono bowiem, że od lat blizko stu *bawiono się* w szkoły i zasady filantropijne, ale *nie uczono*. Młodzieniec chodził do szkoły, aby zbyć formalności życia i czasu: więcéj nie wymagano. W końcu, przed mniéj więcéj czterdziestu laty, poznano błąd stuletni i porzuciwszy filantropią, wzięto się do czynu. Dziś już inaczéj rzeczy stoją. Szkoły elementarne w Anglii, Belgii, Niemczech, Szwajcaryi są obecnie arcydziełami praktyczności. Nie ma dziedziny życia powszedniego, nie ma sprawy tak małéj i niepozornéj w życiu człowieka pracującego, którejby nie ulepszono na korzyść tych, którzy jéj najbardziéj potrzebują, — na korzyść młodzieży przemysłowéj. Zdawaćby się powinno, że nie ma i u nas już nikogo takiego, coby jeszcze mógł powątpiewać o konieczności i potrzebie reform w oświacie klas przemysłowych. Tak nie jest. Przemysłowcy nasi widzą bardzo dobrze, że tylko jeszcze przez podniesienie oświaty i wykształcenia między swoimi mogliby się podnieść, mogliby sprostać wszystkim warunkom epoki i wystąpić do czynnéj konkurencyi z drugimi, zasobniejszymi w naukę i kapitały; lecz nie mając dokładnego pojęcia o doniosłości oświaty i nauki, nie pojmują nawet właściwego stopnia tych potrzeb i zwykle też właśnie dla tego nie umieją ocenić tych odrobinek nauki, bez których już dziś wegetować prawie niepodobna. Za tém idzie, że chociaż ten i ów z klasy pracującéj uzna potrzebę wyższéj i grutowniejszéj nauki dla siebie i czeladki, wystawia ją sobie w swéj naiwności jako coś niezmiernie małego, naturalnego i łatwego do zdobycia. Zdaje mu się, że na cele nauki po fabrykach lub za stołem i kantorem kupieckim wystarczy szkoła niedzielna lub jakieś inne stowarzyszenie; albo, co gorsza, występuje z pretensyami do szkół elementarnych, że mu uczni wzorowych i skończonych nie nadsyłają. Dzisiejsza szkoła elementarna, z kursem nawet czteroletnim, nie jest w stanie być także jeszcze fabryką głów i rozumów fachowych — jest to zadanie szkół specyalnych, w które każdy kraj obficie zaopatrzonym być powinien. Ale w każdym razie, skoro już zaczyna ten i ów odzywać się z pretensyami do szkół elementarnych o większą pomoc w nauce, to fakt ten szkoła zanotować powinna jako napomnienie, jako bodziec, że jéj także spać nie wolno, ale owszem starać się powinna całemi siłami wskrzesić nowego ducha sprężystości i postarać się dla szkoły o ludzi, którzyby w niedołęztwo i martwotę dotychczasowego wykładu umieli wlać kroplę dobrych chęci, kroplę pożytku, kroplę zmysłu i praktyczności. Fachową instytucyą żadna szkoła elementarna być nie może, ale może i powinna być przybytkiem, w którymby dzieci przemysłow-

ców znalazły grunt stały, pewny, rzetelny—naukę prostą, podstawową, obejmującą w sobie cały zakres wiedzy praktycznéj: naukę zdolną stworzyć nam ludność przemysłową, któréj żadna faza postępu nie zaskoczy nieprzygotowaną, nie złamie, nie rzuci na pastwę nizkich i prostaczych namiętności, nie opuści i nie pozbawi tak łatwo zarobku i bytu przyzwoitego. W szkole elementarnéj leżą zarody przyszłych generacyj, zarody bytu materyalnego, zarody handlu, przemysłu, postępu—słowem: zarody potęgi i dobrobytu narodowego. Mała to i drobna na pozór instytucya; a ileż to od niéj zależy! ileż tam sprężyn życia, ileż sprężyn i tajemnic pracy, ile pożytku! Jest to nasz tułów społeczny, nasze serce—w niém początek, w niém losy ogółu. Gdzie te początki licho poczęte, licho założone, licho prowadzone, dozorowane i uposażone, tam idyotyzm powszechny wyrodzić się musi. Szkoła elementarna odżywia nam soki zużyte, i biada społeczeństwu, którego wzrok nie jest jeszcze wstanie dopatrzeć się przyczyny klęsk i chłosty, przez jakie przechodzi obecnie jedno z największych społeczeństw w Europie. Żałujemy, że mając mówić dzisiaj szczegółowo o oświacie klas przemysłowych nie możem rozwodzić się daléj nad reformą szkół elementarnych i wyczerpywać tego przedmiotu. Temat to szeroki, wymagający osóbnéj *ad hoc* rozprawy; ale też właśnie dla téj doniosłosci jego zastrzegamy sobie pomówić o nim w dalszych numerach Wieńca, a tymczasem pomówmy szczegółowo o stosunku naszych klas przemysłowych do szkół elementarnych i do oświaty powszechnéj.

Ponieważ obecnego stanu szkół początkowych w kraju naszym niepodobna zreformować od razu; ponieważ więc ten stan rzeczy pozostać musi i nadal miarodawczym dla projektów dotyczących podniesienia bytu materyalnego: nie pozostaje zatém nic innego, jak pomyśleć nad takiemi przynajmniéj środkami zaradczemi, któremibyśmy zdołali przynajmniéj w grubych rozmiarach ustosunkować dotychczasowy poziom szkoły z potrzebami przemysłu. Jedna strona wspierać tu winna drugą. Gdzie szkoła za przemysłem podążyć nie może, niech jéj przemysł także wedle sił (a na te zawsze stać go będzie) rękę podaje; i odwrotnie: gdzie przemysł nasz potrzebom czasu sprostać nie może, niech mu szkoła jak może dopomaga i ani środków ani ludzi zdolnych ani dobréj woli nie żałuje; obie strony nie powinny się lenić we wzajemnéj pomocy i pracy około tak szlachetnych i żywotnych celów.

Szkoły nasze nie wystarczają na potrzeby przemysłu. To fakt, którego na razie usunąć nie można, bo reforma tego rodzaju nie jest rzeczą jednéj doby. Chodzi więc o to: *jak zapełnić lukę, dzielącą szkołę elementarną od potrzeb handlu i przemysłu.* Wiadomo, z którym to rokiem kończy się edukacya dzieci przemysłowców naszych. Chłopiec taki ma już dobrze lat 9, kiedy go spotyka nareszcie honor poznania... kilku liter! poczem odsyłają go do szkoły. W szkole przesiaduje rok, dwa lub trzy co najwięcéj, a z rokiem 12-tym kończy się nauka—powtarzam: *kończy się* w całém tego słowa znaczeniu. Kiedy świat cały, kiedy inne stany, niepotrzebujące nieraz nawet tylu specyalnych i praktycznych wiadomości, co chłopiec mający zostać krawcem, malarzem, ślusarzem, mechanikiem, kształcą się do lat 20-tu i daléj nawet; kiedy wiemy wszyscy z doświadczenia własnego, że nauka mająca przynieść rzeczywisty plon pracy zaczyna się dopiero *po ukończeniu* nauki elementarnéj: słowem, kiedy cały niemal ogół wyższy kształci swe dzieci aż do pełnego wieku dojrzałości: to dzieci przemysłowców naszych kończą naukę z 11-tym lub 12 rokiem życia, a po tym terminie zamyka się dla nich na zawsze księga nauki. Jedynym nadal dla nich świadectwem, że umieją jeszcze czytać (—pisać i rachować dawno zapomnieli—) jest książka do nabożeństwa lub stare szczątki Kuryerów Warszawskich, zdobywane po sklepach przy posyłkach po sól i pieprz dla pani pryncypałowéj. Te Kuryery, to licea, to gimnazya, to uniwersytety młodzieży przemysłowéj... Zaiste żart nie zły, ale warto po małéj uwadze podumać trochę nad tém porównaniem. Jest w niém więcéj prawdy jak się zdaje. Helotyzm grecki nie mógł stać w gorszym stosunku do nauki. Czegóżbo dobrego spodziewać się można po rzemieślniku mającym lat 30 lub 40, którego nauka skończyła się z 10-tym lub 12-tym rokiem życia? Jakież mogą być potém zdolności takiego człowieka? jaka kwalifikacya? jaka twórczość i pomysłowość? jaki postęp? jakie korzyści dla niego i dla ogółu? jaki zresztą sam żywot wśród tak długiéj nocy?... Narzekamy na niesłowność i nieuczciwość, niedołęztwo i partactwo mularzy, cieśli, szewców, krawców i t. d., a narzekając powołujemy się czémprędzéj do porównania z zagranicą, do emfatycznych wykrzyków na charakter naszych rzemieślników, na wrodzoną jakoby skłonność do nieporządku, gnuśność, niesłowność i tym podobne cnoty hottentockie: lecz jakżeż u Boga wymagać możem po nich, aby byli wzorami ludzkiéj i fachowéj doskonałości, kiedy ci ludzie nie wiedzą nawet, że coś podobnego istnieje.

Zatém idzie naturalnie, że sami przemysłowcy sprzeciwiają się dalszéj nauce swych dzieci i uczni. Zamiast korzystać nieraz z okazyi, że szkoła chętnieby o rok jeden przedłużyć pragnęła naukę dziecka, zamiast cieszyć się z takich dobrodziejstw szkoły i starać się przedłużyć jak najdaléj czas nauki: to klasy te dążą przeciwnie całemi siłami do tego, ażeby nie tylko nie przedłużać nauki, ale ją nawet skrócić i ograniczyć ile możności do jak najmniejszych rozmiarów. Zamiast trzech lat chcianoby dwóch, zamiast dwóch radziby zezwolić tylko na rok jeden. Dla czego?... bo trzeba przecież zacząć wyciągać co najrychlej zyski z dziecka. Już to między szkołą a przemysłem panuje od wieków zacięty spór graniczny o czas nauki. Kiedy szkoła pragnie przedłużyć jak najdaléj początkową naukę chłopca, to rodzice przeciwnie dążą do tego, aby nauka ta mogła się skończyć jak najrychléj—choćby przed 10 tym rokiem życia; kiedy zadaniem szkoły jest kształcić człowieka wszechstronnie, a więc nie tylko praktycznie ale i humanitarnie, to rodzice i pryncypałowie inaczéj pojmują zadanie szkoły i przeznaczenie człowieka: zdaniem ich szkoła ma im kształcić dzieci nie na ludzi lecz na indywidua rozumiejące tylko pracę, a po za pracą nic więcéj. Chodzi tu tylko o zyski: o *człowieku* ani mowy, o pracy wyższéj ani słowka, o postępie w pracy, o wyższéj zdolności fachowéj, o pożytku dla lepszych celów rodziny i społeczeństwa ani idei.

Ale czyżby już nie miało być sposobu do wybrnięcia obronną ręką z tego sporu między szkołą a rodzicami? Czyżby nie miało być rzeczą możliwą, nawet z pewnemi korzyściami dla samych rodziców, przedłużyć czas nauki elementarnéj nawet aż po za dotychczasowy plan szkoły i pozwolić młodzieży przemysłowéj korzystać z darów nauki nawet *po* 14-tym i 15-tym roku życia? Owszem jest sposób, jest punkt wyjścia dla obu stron—tylko oczywiście ze szkodą osób trzecich: ze szkodą pryncypałów. Nasze zdanie jest takie: 1) czyż konieczną jest rzeczą, aby chłopiec siedział koniecznie 6 lub nawet 7 lat przy warsztacie jako *uczeń*? 2) czyż nie wiemy wszyscy, że uczeń taki w pierwszych i ostatnich dwóch latach swego terminowania niczego nowego się nie uczy? 3) czy jest konieczną i do przyszłego fachu ucznia tak nieodzownie potrzebną rzeczą, aby uczeń zaczynał pierwszą naukę swoją od tego, jak nosić wodę dla pani pryncypałowéj, starczyć drew na kuchnię, chodzić po sól i pieprz na miasto, jak pieczeń obracać i dzieci piastować? 4) czy jest aby kilku (wyraźnie *kilku*) pryncypałów w Warszawie, którzyby przynajmniéj parę razy do roku raczyli zająć się *we własnéj* osobie nauką swych uczni i wyłożyć im ten lub ów punkt przyszłego fachu, tę lub ową zasadę i procedurę pracy? wszyscy niemal uczniowie tacy skazani są tylko na swój własny rozum, i czego się *sami* nie nauczą, lub czego im w chwilach dobrego humoru nie wytłómaczą starsi towarzysze, tegoby się od pryncypała nigdy nie nauczyli; 5) czyż znów mało jest uczni takich, co to, jeśli im się uda cudem jakimś nie marnować czasu na posługach w kuchni, wyuczają się niezmiernie prędko swego fachu i już po trzech latach pracy wykonywają wszelkie roboty z tém samém co i starsi wykończeniem?

Nie jestże konieczną rzeczą zmniejszyć czas nauki przy warsztatach i sklepach kupieckich a nie uszczuplać zakresu nauki w szkole? W ten sposób znaleźlibyśmy właśnie punkt wyjścia i przejednania dwóch przeciwności: szkoła kształciłaby chłopca przynajmniéj aż po rok 15-ty, a pryncypał, miałby za to do czynienia z uczniem rozwiniętym należycie, z chłopcem w sile wieku, rozumu i kwalifikacyi naukowéj. Za tém poszłoby oczywiście, że uczeń taki nietylkoby lepiéj i raźniéj pracował nie tylkoby się prędzéj nauczył tego, co mu pokażą, lecz, co najważniejsza, umiałby być późniéj przemysłowcem w całém tego słowa znaczeniu—rzemieślnikiem biegłym, samodzielnym twórczym i postępowym w swoim zawodzie, zdolnym podążać umiejętnie i praktycznie za potrzebami i nowościami danéj chwili. Przemysłowiec, którego nauka zakończyła sięz 10-tym lub 12-tym rokiem życia, nie przyniesie pożytku ani sobie ani swemu fachowi ani ogółowi: fabrykantem dobrym i pewnym siebie nie będzie nigdy, a człowiekiem, mężem, bratem, towarzyszem także nieszczególnym; z ludzi takich tworzy nam się potém proletaryat, i tylko zdolniejsi znajdują stały kawałek chleba, zato słabsi lub mniéj szczęśliwi tracą wiarę w siebie, i sponiewierani nawet przez swoich, schodzą na nędzarzy pędzących życie na poddaszach. Na 10 chłopców jakich dziś widzim przy warsztatach, fabrykach i sklepach korzennych przepada po drodze niemal połowa, raz, że chłopca takiego, wziętego jeszcze dzieckiem do warsztatu, zapędzono do pracy, do któréj może żadnego nie ma powołania (—i to są wypadki najliczniejsze—) a potém, że nierozwinięty ani fizycznie ani umysłowo, nie jest w stanie wytrzymać wstępnych prób fachu i marnuje się w połowie drogi. Korzyści więc z dotychczasowego zwyczaju kształcenia przemysłowców nie ma zgoła żadnych; za to szkód dla jednostek, dla rodzin i dla ogółu namnożyć się musi bez liku.

(*d. c. n.*)

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 43).

VI.

Tymczasem Augustynowicz zakwaterował się na dobre u Szwarca. Co za różnica jego dawniejszego życia z teraźniejszém! Dawniéj nie miał ciepłego kąta—Szwarc dał mu ciepły kąt; nie miał łóżka—Szwarc kupił mu łóżko; brakło mu pościeli — Szwarc kupił pościel; nie miał odzienia—Szwarc zaopatrzył go w odzienie; nie jadał—Szwarc dzielił z nim obiady. Znalazł się w zupełnie innych warunkach. Ogrzany, nakarmiony, w porządnym surducie, uczesany, umyty, ogolony, stał się zupełnie innym człowiekiem. Był to, jak mówiliśmy, niesłychanie słaby charakter; zawsze stwarzały go warunki życia, zawsze był tylko wypadkową tych czynników. To też pod surową ręką Szwarca zmienił się do niepoznania, zaczął smakować w życiu porządném a dostatniém. Jak dawniéj nie wstydził się niczego, tak teraz zaczął się wstydzić wszystkiego, co nie pasowało z eleganckim ubiorem i rękawiczkami. Najtrudniéj mu było odzwyczaić się od picia, ale nie miał zręczności zapadać w dawny nałóg, bo Szwarc pilnował go jak oka w głowie, nie spuszczał go z oczu, natomiast kupował mu wódkę—ale nie dawał pieniędzy. Z jaką niecierpliwością oczekiwał Augustynowicz chwili, w któréj Szwarc otwierał szafę dla nalania mu kieliszka, trudno sobie wystawić. Ileż namarzył się w téj chwili! jak sobie wystawiał smak napoju, wprowadzenie go do ust, dotknięcie językiem, popchnięcie do gardła i wreszcie uroczyste wejście do żołądka! Zresztą Szwarc, by odebrać tym poczęstunkom upokarzający charakter, zwykle sam pił do niego.

Z biegiem czasu —zaczął go lepiéj traktować, zaczął go wcielać w rozliczne swoje i uniwersyteckie sprawy i wreszcie w swój sposób myślenia. Nie ma potrzeby mówić że Augustynowicz przyswajał sobie to wszystko jako swoją własność, że słowa Szwarca powtarzał gdzie mógł dodając zwykle z początku: „Ja sądzę, że" i t. d. Ktoby go poznał! On, dla którego nie było nic nadto bezwstydnego, teraz na zebraniach młodzieży, kiedy rozmowa brała trochę za wesoły kierunek, mawiał: „Panowie! tylko przyzwoitość przedewszystkiém!" Śmieli się studenci, śmiał się sam Szwarc po cichu, ale dotychczas kontent był z własnego dzieła.

Nie potrzebujemy dodawać, że chodząc z Augustynowiczem na jeden fakultet, uczył się z nim razem wieczorami. Wtedy miał sposobność ocenić w całéj pełni jego zdolności; dla tego umysłu nie było rzeczy trudniejszych i łatwiejszych; jakaś szalona intuicya zastępowała tam rozmysł—pamięć nie tyle trwała, ile obszerna, zastępowała pracę.

Częstym gościem Szwarca i Augustynowicza bywał Wasilkiewicz. Początkowo przychodził z Karwowskim, potém i sam bywał codziennie o swojéj godzinie. Rozmowy jego ze Szwarcem, krążące koło najważniejszych pytań nauki i życia, stawały się coraz poufalsze. Ci dwaj ludzie przeczuli się i jeden odgadywał w drugim potężny umysł i wolę. Stosunek oparty na wzajemnym szacunku, zdawał się stałą zapowiadać przyszłość. Jeden i drugi pochwycili w ręce kierunek młodzieży uniwersyteckiéj—incyatywa ogólnych czynów wychodziła tylko od nich, a że byli zgodni, zgodnie się też działo i w uniwersytecie—koleżeństwo i nauka najwięcéj na tém wygrywały.

— Powiedz mi też, pytał pewnego razu Szwarc: co mówią o mojém postąpieniu z Augustynowiczem?

— Jedni cię uwielbiają, odrzekł Wasilkiewicz, drudzy śmieją się. Byłem u jednego z twoich antagonistów w interesie naszéj biblioteki; zastałem tam niemałe grono i mówiono właśnie o Augustynowiczu i tobie... Ale, ale! czy wiesz; kto cię tam najgoręcéj bronił?

— No kto?

— Zgadnij!

— Lolo Karwowski.

— Nie.

— Dalibóg nie domyślam się.

— Gustaw.

— Gustaw?

— Aa! nagadał tam tym, co się wyśmiewali z ciebie, tyle przyjemnych rzeczy, że zaręczam ci, iż nie prędko zapomną. Wiesz, jak to on umie!—Myślałem, że ich dyabli pobiorą.

— Tegobym się nie spodziewał!

— Ale bo go już dawno nie widziałem... Ech! on też zagrzązł w tę nieszczęsną miłość po uszy. A to tęgi chłopiec... i żal mi go. Powiedz—ty się na tém znasz lepiéj—bardzo on chory?

— O! nie dobrze z nim!

— Cóż to? Astma?

Szwarc kiwnął ręką:

— Astma... nadmierna praca... zgryzoty...

— Szkoda!

Nagle czyjeś kroki dały się słyszeć na schodach—drzwi się otworzyły—wszedł Gustaw.

Był zmieniony do niepoznania. Skóra na jego twarzy wybielała dziwnie, stała się przezroczystą. Z téj twarzy wiało jakieś zimno, jakby od trupa; żółtawy odcień świtał mu z czoła, które zdawało się być woskowém. Wargi miał białego koloru; zarósł: ciemne włosy, broda i wąsy rysowały się przy owéj bladości prawie czarno. Wyglądał jak człowiek. który przebył długą chorobę, a na twarzy osiadła mu pewność siebie i rozpaczliwa jakaś rezygnacya.

Szwarc trochę zdziwiony, trochę zmieszany, nie wiedział podobno od czego zacząć. Gustaw wyprowadził go z kłopotu.

— Szwarc! mówił Gustaw—przychodzę do ciebie z prośbą. Niegdyś przyrzekłeś mi nie widywać Potkańskiéj—cofnij to przyrzeczenie.

Szwarc wykrzywił twarz rodzajem przymusu. Nie w smak mu była rozmowa w téj materyi; więc odpowiedział tylko:

— Nie zwykłem nie dotrzymywać słowa.

— Tak, odrzekł spokojnie Gustaw; ale tu jest zupełnie co innego. Gdybym umarł naprzykład przyrzeczenie nie obowiązywałoby cię—a ja widzisz—jestem chory, bardzo mocno chory. Ona tymczasem potrzebuje opieki. Ja już nie mogę... nie mogę czuwać nad nią. Trzeba mi się położyć... odpocząć... jestem bo i zmęczony trochę. Zresztą powiem ci całą prawdę: Ona ciebie kocha, a ty ją pewno także—ja stałem wam na zawadzie, ale teraz się usuwam. Z musu to robię i nie sprzedaję tego za poświęcenie... Kochałem ją bardzo i miałem trochę nadziei, że i ona będzie mnie kiedyś kochała... ale błądziłem (tu głos jego spadł o oktawę niżéj). Nikt mnie nigdy nie kochał... Było mi bardzo smutno w życiu... Ale cóż robić? W ostatnich czasach dużo przeszedłem, ale to się już skończyło! Dziś chodzi mi o to, żeby ona nie została sama. Gdybym się był umiał zdobyć na poświęcenie, byłbyś już dziś jéj opiekunem... Szwarc! możesz to dla mnie zrobić... Ty masz energię i jesteś bogaty... i ona cię, mówię, kocha, więc ty nie zakończysz tak jak ja. O! mnie źle było na świecie... Ale mniejsza o to. Nie chciałbym jéj wyrządzać krzywdy... Kocham ją jeszcze! Nie chciałbym, by przezemnie pozostała sama na świecie. Czasem, widzisz, nie powinno się ludziom nic odmawiać... Idź, idź! do niéj. Mieszkaliśmy jednak razem... klepali jedną biedę—więceś powinien to dla mnie zrobić; bo ja, powtarzam jestem, chory i nie wiem czy ją lub ciebie więcéj zobaczę.

Wasilkiewiczowi łza zakręciła się w oku, powstał i zwróciwszy się do Szwarca rzekł:

— Szwarc, powinieneś uczynić wszystko, o co cię Gustaw prosi.

Szwarc odrzekł stanowczo:

— Będę u niéj—dam jéj opiekę. Daję na to słowo uczciwości wam obu.

— Dziękuję!—rzekł Gustaw. Idź tam zaraz.

Za chwilę pozostał sam na sam z Wasilkiewiczem.

Litwin przez czas jakiś stał milczący, pasował się z własném sercem; wreszcie ozwał się głosem serdecznego współczucia:

— Gustawie, biedny Gustawie, jak ty tam musisz cierpieć w téj chwili!

Gustaw nic nie odrzekł, wciągnął z sykiem powietrza w usta, zacisnął zęby, twarz zadrgała mu konwulsyjnie i nagle łkanie rozerwało mu piersi... siły opuściły go zupełnie.

* * *

We trzy dni potém Szwarc z Wasilkiewiczem siedzieli w mieszkaniu Gustawa. Wieczór był jasny zimowy; snopy księżycowego światła wpadały przez szyby do izby. Przy łożu chorego paliła się świeca. Chory był jeszcze przytomny. Piękna była niemal jego głowa, wyżółkła z nędzy, o wysokiém czole, leżąca na wyniosłych poduszkach. Jedna wychudzona ręka spoczywała na kołdrze, drugą przyciskał sobie piersi.

Światło świecy rzucało różowy blask na tego męczennika własnych uczuć. Przeciwległy kąt izby mroczył się cieniem. Gustaw był przytomny—zdawał Szwarcowi rachunki z opieki nad Potkańską. Od czasu do czasu odzywał się jeszcze choć z trudnością — to do Szwarca to do Wasilkiewicza, który stojąc w głowach łóżka, ocierał chustką gruby pot sypiący mu się na czoło.

— Chciałem cię ostrzedz—mówił Gustaw. Przysyłają jéj dwa tysiące rocznie, a tam trzeba pięć do sześciu... Resztę ja zarabiałem... Odsuńcie świecę i zwilżcie mi usta... Resztę zarabiałem... pracowałem... odejmowałem sobie od ust, nie dosypiałem... Po dwa dni czasem nicem w ustach nie miewał... Podnieście mnie trochę i oprzéjcie wyżéj... Nie mogę mówić... Jest tam jeszcze dla niéj trzydzieści rubli w téj skrzynce... Ciemno mi... Niech odpocznę...

Cicho było w izbie; tylko mysz w drugim kącie szeleściła kawałkiem papieru... Śmierć zstępowała.

— Chciałbym skończyć naszą pracę, mówił daléj Gustaw... Powiedzcie im niech się nie kłócą... Zimno mnie ogarnia... Ciekawym czy też jest jakie niebo lub piekło!... Nie modliłem się nigdy... ale, ale...



WIEŃCZENIE DĘBU. Układ i rysunek Andriollego.

Wasilkiewicz pochylił się ku niemu i spytał cicho:

— Gustawie, ty wierzysz w nieśmiertelność?!

Chory już nie mógł mówić; kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Wtedy zdawało się, że w izbie rozległy się ciche tony czarownéj muzyki. Po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios rój aniołów; — pełno ich było: jedne białe, drugie miały skrzydła złote lub kolorowe. Chodziły cicho, pochylały się nad łożem, trącały skrzydełkami, kręciły się jako pszczółki brzęczące... Słychać było szelest ich piór.

Razem z tą cichą kapelą uleciał duch Gustawa. (*d. c. n.*)

OGÓLNY WIDOK PORTÓW M. ODESSY.



PORT KWARANTANNOWY.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (Ob. N. 43).

Osobną ławę w komedyi zajmują znowu kucharze, którzy także spoważnieli za czasów Macedońskich, kiedy bogaci ludzie, oderwani od spraw publicznych, zaczęli stawiać jadło w rzędzie ważniejszych zajęć prywatnego życia. Sądząc po urywkach, jakie pozostały, kucharz niepoślednie miejsce zajmował w komedyi Menandra; znajdujemy tam nawet jeden ustęp w którym kucharz o dziele swem rozpowiada z powagą i zapałem przypominającym ambitną postać Vatela.

Oprócz niewolników i kucharzy, w rzędzie figur charakteryzujących domowe życie Grecyi, stoi jeszcze jedyna w swoim rodzaju postać:—pasożyt. Jest to coś pośredniego między żebrakiem i rezydentem, w każdym razie darmozjad. Jak każda religia mniéj więcéj, zwłaszcza w okresie większego ferworu, ma swoich darmozjadów, którym udaje się wmówić w ciemny i fanatyczny tłum że mają bliższe stosunki z niebem i że to łaskawsze jest na tych co im dobrze świadczą,—tak i darmozjad grecki ma także pochodzenie religijne. Tuczono ich po różnych świątyniach na cześć różnych bóstw: z następstwem czasu, możniejsi, naśladując snadź etykietę dworu Olimpijskiego, otworzyli im miejsce po swoich domach, i tym sposobem sekularyzowali niejako pasożytów. Odtąd indywiduum to przybrało charakter bezczelności i zuchwalstwa, przechodzący w demoralizacyi wszystko cokolwiek sobie wyobrazić można. Pomięszanie charakteru cywilnego z religijnym ratowało ich długi czas od obejścia na jakie zasługiwali; silni tą bronią zdołali się wedrzeć w obyczaj społeczny i byli tolerowanémi wówczas nawet gdy modyfikacya pojęć religijnych odarła ich z tego charakteru nietykalności jakim cieszyli się z początku. Po pańskich dworach zabawiali się błaznowaniem, rozśmieszaniem, pochlebstwem, pośrednictwem w sprawach delikatnych, umieli wciskać się do gyneceów, z obojętnością przyjmować obelgi słowne i czynne, byle mogli pofolgować żarłoctwu i opilstwu. Pierwsi dopiero poeci komedyi średniéj pozwolili sobie złamać przesąd jaki nimbem swym otaczał pasożytów, i uderzyli na nich. Epicharmis Sycylijski w taki sposób kreśli obraz pasożyta w komedyi *Plutus*: „Ja wieczerzam u każdego kto mnie przyjmie: dość mi zaprosić się. Wieczerzam nawet i u takiego który mnie sobie nie życzy, i nie potrzeba mnie zapraszać. Jestem przyjemny, śmiech wywołuję dokoła i śpiewam pochwały wielkiego męża który mnie podejmuje. Jeżeli który z biesiadników waży się powiedzieć coś nie tak jak on, szydzę z gbura i wojuję z nim otwarcie. A potem, jak się dobrze najem i napiję,—odchodzę. Nie mam ja niewolnika coby mnie odprowadzał z latarką: idę też na czworakach, chwiejąc się, w ciemnościach, sam jeden; a gdy nadybię straż nocną, oddaję dzięki bogom jeżeli skończy się na kilku kułakach. Przybywszy nareszcie do mieszkania, podrapany, kładę się bez kołdry, i śpię niepomny wypadków, dopóki wino czyste panuje nad moim

mózgiem.“—Dzielny Antifanes, koryfeusz komedyi średniéj, w jaskrawszem jeszcze świetle ukazuje tę postać: „Wszak ty znasz mój charakter, i wiesz że wcale niéma we mnie pychy. Oto czem jestem dla moich przyjaciół: rozpalonem żelazem kiedy mnie kto chce obić, piorunem kiedy ja mam obić kogo; błyskawicą, jeśli kogo trzeba oślepić; Boreaszem, gdy wypadnie sprzątnąć zawadzającego; stryczkiem, gdy zdusić; trzęsieniem ziemi gdy chodzi o wysadzenie drzwi; konikiem polnym, do skakania; muchą gdy chcę nieproszony dostać się na wieczerzę: ale przy wstawaniu od stołu, niepodobna! w téj materyi jestem zamkniętą studnią. Powiesić, zakłuć, fałszywie świadczyć, wszystko to gotów jestem uczynić za pierwszem słowem, z zamkniętemi oczyma. To też młodzież nasza nazywa mnie: trąbą! Ale ja nie zważam na ich drwiny i jako dobry druh, przyjaźń moją czynami objawiam, nie słowy”.

Komedya nowa poszła wślad za średnią, i po złamaniu przez nią pierwszych lodów z całą gwałtownością rzuciła się na pasożytów. Pomimo że satyra osobista dawno wyszła z obyczaju i z użycia, Menander w tym jedynym wypadku pozwolił sobie po nazwisku wymienić jednego ze znanych pasożytów. Im szczególniéj, jako pośrednikom do wszystkiego co niszczy duszę i ciało, przypisywał poeta zepsucie młodzieży a zarazem wzrost występków których był prześladowcą. Więc też u niego pasożyt nietyle wyciągany jest na pośmiewisko ze strony swego łakomstwa, próżniactwa i wytartego czoła; ale stawiony raczéj pod poważny pręgierz jako istota szkodliwa, zarazę wnosząca śród rodziny. Pasożyt Strutias, zatytułowany jest *Pochlebcą*; z samego tytułu wnosić możemy że tu chodzi o głębsze wpływy jakie stosunek taki wywiera na umysły. Dzisiejszy nasz pasożyt, *vulgo* zwany pieczeniarzem, oczekuje dotąd na swego Menandra.

Od chwili jak komedya odstąpiła tem czasowo od wzoru Molierowskiego, że nad studyami charakterów dała pierwszeństwo ubieganiu się o zajmującą intrygę, co jest mianowicie cechą komedyi dzisiejszéj, typy nagle znikły ze sceny; a komedya, mianowicie też francuzka, coraz bardziéj wkracza w granice melodramy, elementa komiczne kojarząc z patetycznemi. Nie mamy nic przeciw takiemu krzyżowaniu gatunków, chociaż podobno krzyżowanie zawsze wyradza hybrydy; ale to pewna że dzisiaj jest ono tylko dowodem uznania w sobie słabości piszącego. Kto czuje się dobrze na siłach, ten śmiało patrzy w sztukę, a oceniając całą wartość jéj czystości, nie rad, z pewnością, odstępować od niéj, bo przez nią tylko najskuteczniéj zalecić się może: w dramacie zaś nic niéma wyższego a zarazem i trudniejszego jak stworzyć typ czysto komiczny lub czysto tragiczny; gdy się komu coś podobnego uda, to już i pozostaje na wieki. W gatunku mięszanym niéma pola do takiego typu, a raczéj, przy braku sił odpowiednich do zaklęcia jednéj czystéj idei w ciało, używa się tego gatunku by brak typu zakryć: zastępuje się go wielością elementów, dowcipem, wytworną dykcyą, intrygą, ruchem scenicznym; dzieło nabywa pewnéj względnéj wartości, zyskuje powodzenie, widz ze sztuki wychodzi wzruszony, zadowolony, nie rozbierając dlaczego, i na myśl mu nawet nie przyjdzie że w dziele które widział, które go zajęło, nie było żadnéj kreacyi. Cóż tu mówić o innych, kiedy najgłośniejszy w ostatnich czasach dramaturg, jakim był Wiktor Hugo, nie stworzył żadnego typu. Nie idzie za tem ażeby typ, wcielenie idei moralnéj, miał sam jeden wypełniać całość warunków dramatu czy to tragicznego, czy komicznego, gdyż dramat, jak widzimy, obchodzi się i bez niego, a dobrze przedstawiając charaktery powszedniejsze, staje się rzeczywistem dziełem sztuki, ta jednak kształci się, postępuje i zasila najwięcéj, jeśli nie jedynie, przez wywołanie do życia tych postaci, któreześrodkowując w sobie w najwyższym stopniu wszystkie cechy oznaczające pewną odrębność duszy ludzkiéj, stają się jéj najdoskonalszym wyrazem, — wzorem. Nie dlaczego innego dzisiejsza nasza krytyka dramatyczna wciąż zwraca się do Szekspira i do Moliera, tylko dlatego że oni to właśnie byli mistrzami którym natura dała dosyć sił do tworzenia typów, i te właśnie dzieła ich najczęściéj są cytowane i studyowane, które zawierają typy. Jak zaś trudno jest o nie, dowodzi to że cała nowoczesna literatura dramatyczna liczy ich w ogólności niewiele nawet w samym Szekspirze i Molierze; a i te są także rozmaitéj wartości: i co także zauważyć należy, to iż typy ujemne nierównie liczniejsze są od dodatnich. Typ, w każdym razie, jest rzeczą poniekąd wyjątkową, przez samą swą intensywność; więc też nie należy go mięszać ze zwyczajnym charakterem, którego dobre określenie i wypełnienie życiem jest już niepospolitą zasługą poety.

Żałujemy wielce że niepodobna jest nam złożyć ani jednego typu czy charakteru Menandra w jego całkowitéj artystycznéj formie, to jednak co widzieliśmy po nim, świadczy niezaprzeczenie iż poeta ten główną usilność w to właśnie włożył ażeby dzieło jego przedstawiało całkowitą osobę ludzką z téj strony z jakiéj chciał ją przedstawić,—i to było hasłem całéj komedyi greckiej nowéj, które znalazło odgłos co odbił się aż w komedyopisarzach siedmnastego wieku.

Staraliśmy się przedstawić działalność Menandra ze względu planów jego komedyi, ze względu postaci jakie dla osiągnienia swych celów społecznych wprowadza, uchyliliśmy nieco zasłonę intrygi którą za konieczną uznał dla akcyi dramatycznéj i dla zaprowadzenia w niéj jedności. Teraz, dla uzupełnienia pojęcia o nim, wypada nam ukazać jego zapatrywanie się na ogólne zasady życia, jego — że się tak wyrażę — filozofię moralną; gdyż, jak to już i wyżéj mieliśmy sposobność wspomnieć, każdy myśliciel grecki czy rzymski, nie mając pod sobą żadnego gruntu powagi, mógł sobie tworzyć moralność podług siebie, akceptując lub nie akceptując tego do czego przyszedł.

W ogólności mówiąc, Ateny jak w energii swéj zmiękły pod panowaniem Macedońskiem, tak złagodniały i w obyczajach. Nigdy przedtem nie było tam tak widocznego zbliżania się ludzi pomiędzy sobą, jak wówczas kiedy niedola zaciążyła nad wszystkiemi. Otóż to uczucie ludzkości, sympatyi wzajemnéj, wskazywanie korzyści z takiego zespolenia interesów, na każdym kroku popiera komedya nowa. Jest to zapewne bardzo jeszcze dalekiem od tego czego wymaga religia chrześciańska, niéma tam mowy o duchu ofiary, ale widocznem jest szczepienie ducha sprawiedliwości, wspólnéj i równéj miary, wzajemnego układu dobrych uczuć. Menander przedstawia dolę ludzką jako podległą wielu przykrościom, wyszukuje zatem rozliczne strony życia w których możnaby znaleźć przeciwwagę złemu, ostrzega, cieszy, zachęca, wzywa do rezygnacyi. Ludzkość obchodzi go do wysokiego stopnia; nie wiemy, czy plagiator jego, Terencyusz rzymski, przetłumaczył z niego ów sławny wiersz: Homo sum; humanum nihil a me alienum puto *), ale to pewna że *człowiek* u Menandra wszędzie jest na pierwszym planie. Dosyć spojrzeć na portret jego, które zamieściliśmy na czele tego artykułu, ażeby przekonać się ile to tam ludzkiego jest w tem poważnem i myślącem obliczu, pomimo sarkazmu jaki igra w jego ustach ściśnionych lekkim uśmiechem. Na jego wysokiem i szerokiem czole myślenie wyryło surowe znaki, ale te usta gotowe są myśl głęboką wyrzucić w dotkliwym epigrammie. Bezźreniczne jego oczy mają głębokość i zadziwiające życie, zdaje się jakoby z marmuru jeszcze wnikały w te tajemnice duszy ludzkiéj które niegdyś za życia wydobywały z łona spółczesnych. Ileż to ludziom udzielił on dobrych rad, z których i dziś nic by ująć nie można!... Narzekasz na swój los, radzi ci rezygnacyę: — „Człowiekiem jesteś, powiada,—nie żądaj przeto od bogów aby ci oszczędzili wszelkiego cierpienia; proś ich tylko o to aby ci udzielili męztwa do zniesienia wszystkiego: jeżeli bowiem pragniesz uniknąć wszelkiéj boleści, to chyba że chcesz sam zostać bogiem albo też umrzeć natychmiast. Pocieszaj się raczéj w swéj niedoli, patrząc na cudzą biedę”. Nie chcemy mnożyć przytoczeń, ale moglibyśmy ich zacytować tu kilka w podobnym duchu, gdzie poeta podciąga ludzi pod jednakowe prawa, namawiając przez to do skupienia się w jednych myślach i dążnościach, radzi człowiekowi być cierpliwym i unikać gniewu, który do rozwiązania udręczeń nie doprowadza. Jeden wszelako ustęp jest mocno charakterystycznym, w którym odezwanie się w imię wspólności interesów moralnych wydatniejszem jest jak gdziekolwiek indziéj:—„Gdybyśmy wszyscy, ilu nas jest, chcieli zjednoczyć się przeciwko złym i wytoczyć im wojnę; gdyby każdy jako swoją przyjął krzywdę złe wyrządzone drugiemu; gdybyśmy silnie wspierali jeden drugiego; wtedy szkodliwe zamysły złych nie wskórałyby nic przeciwko nam. Naglądani zblizka i karani według wykroczeń, źli niebawem rzadkiemi by się stali, a może nawet znikliby zupełnie”. Przeciwko niedolom ludzkim poeta zaleca szczególniéj przyjaźń i dobre słowo: „Bo to nie pośród uczt i nieustannych uciech, o mój ojcze! znajdziemy kogoś komu moglibyśmy powierzyć tajemnice życia naszego; ze wszystkich bowiem dóbr tego świata każdemu z nas zdaje się że posiadł największe, jeśli ma przyjaciela... a choćby tylko cień przyjaciela”. Na innem zaś miejscu mówi: „Słowo, jest to lekarz uzdrawiający ludzi w zmartwieniu; ono tylko posiada czarodziejski urok władnący duszą, i najwięksi mędrcy dawnych czasów nazywali je najmilszem z lekarstw”. *(d. c. n.)*

*) Człowiekiem jestem, nic więc człowieczego nie może mi być obcem.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

4-ty Koncert Towarzystwa muzycznego. — Koncert na dochód niezamożnych studentów Uniwersytetu. — Koncert panny Florentyny Friedenthalówny. — Koncert pana Adolfa Kozieradzkiego. — Koncert na dochód panów: Tatarkiewicza i Grzywińskiego. — Bilse. —

Dokończenie. (Ob. Nr. 43).

Oto panu Adolfowi Kozieradzkiemu to słusznie koncert się należał. Jest to artysta dobry i bardzo scenie naszéj pożyteczny. Z udziałem więc kolegów scenicznych wystąpił z koncertem w dniu 6 Maja. Jako basista komiczny (basso buffo) nie wiele koncertant miał pola do popisu na estradzie, gdyż sam rodzaj jego talentu koniecznie wymaga mimiki, kostiumu i charakteryzacyi, a więc sceny. Pomimo więc dobrego wykonania arya Leporella niewłaściwą na kon-

cercie się wydała, a nawet duet z „Małżeństwa tajemnego“ Cimarosy, przez koncertanta i pana Prochazkę wykonany. Bez mimiki śpiewy te wydają się ułomnemi, mimika zaś na estradzie jest rażącą. Równie jak dobry deklamator na estradzie w miejscach najdramatyczniejszych od mimiki się powściąga, tak samo i w śpiewie być powinno. Sam tylko głos wszystko wyrażać i wszystkiemu wystarczać powinien. Każdy więc grymas, każde mrugnięcie, każdy gest ręką, każde ramion ściągnienie, chociażby najbardziéj do słów stósowne, używaném na estradzie być nie może. Treść śpiewu może być komiczną, lecz osoba śpiewająca komicznie się przedstawiać nie powinna. Pan Kozieradzki pozwalał sobie mimiki i to właśnie dowodzi niewłaściwości wyboru śpiewów. Prześliczny śpiew Moniuszki „Trzech Budrysów“ do talentu pana Kozieradzkiego wcale się nie nadaje. Ballada ta naprzemian to powagi, to lekkiéj ironii, to zresztą głębokiego uczucia („Bo nad wszystkie ziem branki“) wymagająca, traci cały swój urok, gdy się choćby najlżejszym odcieniem *buffy* powlecze. Pan Kozieradzki zaś takim jest w swoim zawodzie specyalistą, że mimowolnie każdą rzecz komicznością zabarwia. Zresztą może to i ztąd pochodzić, że słuchacze będąc do rodzaju jego przyzwyczajeni we wszystkiém komizm upatrują. Może to z tego powodu używane staccato w „Trzech Budrysach“ nieraz nam Kalchasa przypominało. Dostrzegliśmy w „Trzech Budrysach“ kilka drobnych zmian melodyjnych nieprawnie poczynionych. Miejsce „Taką dawszy przestrogę“ na recitativo włoskie przerobioném zostało. W samym końcu śpiewu przy wyrazach „Prosić na trzecie wesele“ kompozytor z uzasadnioną intencyą głos do wyższéj oktawy wprowadza, pan Kozieradzki zaś w niższéj go zatrzymał. Przy wyrazach „A pod burką wielkiego coś chowa“ spójnik *a* tylko w pierwszym razie użytym być może, przy powtórzeniu zaś z powodów rytmicznych przez kompozytora usuniętym został. Pan Kozieradzki jednak oba razy zgłoskę tę wciskał, chociaż na nią tam miejsca nie było.

Panna Miller-Czechowska wykonała dwa śpiewy włoskie, w których jak zwykle zbyt portamentami się posługiwała. To atakowanie tonów wyższych za pomocą nacisku portamentowego ze skali niższéj przeszło już u panny M. C. w manierę, która bynajmniéj wdzięku jéj pięknemu głosowi nie przysparza.

Aryą z cieniem „z Odpustu w Ploërmel“ wykonała pani Dowiakowska, wykazawszy w niéj całe bogactwo swéj biegłości w koloraturze. Za wiele wszakże popisuje się ze swym trylem, który tylko u profanów za tryl uchodzić może, gdyż jest tylko jednego tonu trzęsieniem. A właściwy tryl jest równém a szybkiém dwóch tonów naprzemian powtarzaniem. Zresztą tak rzadko prawdziwy tryl usłyszeć można, żeśmy już do podobnych surogatów przywykli. Pani Dowiakowska wszędzie i sowicie nim częstuje i nie małą dozę trylu takiego w mazurku nad program zaśpiewanym nam udzieliła.

Dwa śpiewy kompozycyi p. Zarzyckiego pan Filleborn bardzo dobrze wykonał.

Z dwóch numerów zbiorowych kwartet „z Rigoletta“ wcale porządnie był odśpiewany.

Tyle o części wokalnéj.

Z ustępów instrumentalnych „Kwartet“ Schumana wcale niezadowalniająco się powiódł.

Chcąc mówić o wykonaniu duetu „z Don Juana“ Wolffa i Vieuxtemp'sa, przez panów Makowskiego i Wład. Ostrowskiego odegranego, musimy tylko odesłać czytelnika do tego cośmy wyżéj o grze pana Ostrowskiego powiedzieli.

Jeżeliśmy wyżéj pani Modrzejewskiej czynili zarzuty ze względu nietrafnego wyboru wierszy do deklamacyi, to za to wyznać musimy, iż trudno wybrać coś piękniejszego jak wiersz, który na koncercie pana Kozieradzkiego deklamowała. Była to „Syrena“ Odyńca w trzecim tomie „Kroniki Rodzinnéj, przed dwoma laty drukowana. Kto nie czytał tego wiersza, to mu radzimy go poznać. Mało obecnie tak pięknych rzeczy spotkać można. Jeżeli zaś dodamy do tego cały czar i urok, jakiemi pani Modrzejewska wszystko oblekać umie, to wtedy potrafimy wyobrazić sobie co za silne wrażenie deklamacya ta na słuchaczów wywarła. Wszyscyśmy byli głęboko wzruszeni. Jak „Rycerz wzrok orła“ tak samo słuchacze myśl autora i deklamatorki zrozumieli. Taka chwila niemego porozumienia się jest nieoszacowaną. Nigdyśmy dotychczas pani Modrzejewskiéj tak znakomitą w deklamacyi nie widzieli.

O przedstawieniu sceniczno-muzycznem na dochód panów: Tatarkiewicza i Grzywińskiego, dnia 12 maja w teatrze wielkim odbytém, czytelnicy już od kronikarza naszego się dowiedzieli. Do słów jego ze swéj strony dodajemy tylko, że pan Górski wybornie „koncert“ Mendelsohna odegrał, a pan Zarzycki wykonaniem „Capriccia“ (op. 22) tegoż autora nie dowiódł wcale dokładnego przejęcia się tym nieopospolitym utworem. Aryą z „Le pré aux clercs“ pani Dowiakowska bardzo dobrze zaśpiewała.

W tymże dniu po raz pierwszy orkiestra Bilsego dała się słyszeć w Dolinie Szwajcarskiéj. Wszyscy wiedzą że orkiestra ta jest prześliczną, i że w obrębie muzyki zbiorowéj nic podobnie doskonałego, a przynajmniéj do doskonałości zbliżonego (oprócz kwartetu Müllerów) nie mieliśmy. Wpływ zbawienny téj orkiestry na muzykalność naszę większym jest bez porównania, niż wszystkie nasze instytucye muzyczne razem wzięte. Wielu jest narzekających na to, że utrzymywanie téj orkiestry zbyt wiele Warszawę kosztuje. Zgoda na to że wiele kosztuje, lecz gdy weźmiemy w porównanie inne rzeczy muzyki się tyczące i zestawimy tak pod względem ilości jak i jakości korzyść i przyjemność od nich i od Bilsego otrzymywaną, to może się w końcu i pokaże, iż Bilse jest źródłem jedném z najtańszych. Zresztą to już przechodzi w kwestyą ekonomiczną, a ta do nas nie należy. Tegoroczna orkiestra Bilsego wydała się nam jeszcze lepszą od przeszłorocznéj. Wszystkie zalety które ją przedtém zdobiły, teraz jeszcze się więcéj spotęgowały. Pomimo jednak téj wyższości, a raczéj wskutek jéj, Bilse obowiązanym jest do poczynienia pewnych reform w swych koncertach. Pojmujemy że nie może swych koncertów zapełniać samemi utworami poważnemi, gdyż musi czynić w tém ustępstwo większości słuchaczów, ale może w takim razie poprzestać na kompozycyach lżejszego polotu, nie uciekając się do lichot, których zamieszczenie w programie równie dla sztuki i Bilsego jak i dla słuchaczów jest ubliżającém. Może sobie grać i walce, i polki i kontredanse, byle tylko dobre, bo każda forma muzyczna równie jest dobrą, jeżeli tylko kompozytor w niéj przyzwoicie się znajduje. Ale wykonywanie takich potpouri jakiegoś Conradi'ego, w których rzemieślnik-kompilator tém się tylko chełpi, że ani razu sam nie pomyślał tylko myśli cudze pokaleczył, to już prawdziwy skandal muzyczny. Oprócz tego Bilse bardzo rzadko swój repertuar czém nowém zasila. Najpiękniejsza rzecz bezustannie przez kilka lat powtarzana musi stracić swój urok i w końcu znudzić. Z rzeczami solowemi powinien być także ostrożniejszym. Przy wielkim natłoku gości sola na niektórych instrumentach ledwo przez małą część publiczności mogą być słyszane. Jeszcze zgoda na trąbkę, klarynet lub tym podobne instrumenta, lecz skrzypce, a mianowicie arfa tylko dla kilku pierwszych rzędów są dostępne. Niech by zresztą takie sola bywały tylko na koncertach symfonicznych, kiedy napływ słuchaczów jest mniejszym. Ale w dni świąteczne nigdy bywać nie powinny. Przez tyle lat Bilse otrzymuje tak niedwuznaczne dowody sympatyi warszawian, że przez samę przyzwoitość wypadałoby do programów wprowadzać utwory kompozytorów miejscowych. Tém bardziéj zaś gdy pomiędzy niemi niemało jest takich, które ozdobę jego repertuaru stanowićby mogły. Tyle jest utworów znakomitych Moniuszki, Dobrzyńskiego, Kurpińskiego, że już o innych nie wspominamy. A „Symfonia“ lub „W Tatrach“ Żeleńskiego czyż dla samego Bilsego nie powinnyby być ponętnémi? Żądanie to stawimy głośno i wyraźnie, spodziewając się że spełnioném zostanie, w przeciwnym razie Bilse dowiódłby iż nie tylko naszym słusznym wymaganiom zadość uczynić nie chce, lecz że utwory naszych kompozytorów lekceważy, coby wszakże nie dla nich lecz dla niego ujmę przyniosło. Na stawione dawniéj podobne żądania Bilse odpowiadał wykonaniem jakiegoś mazurka napisanego przez miejscowego amatora. Był to żarcik z jego strony, my prosimy nie żartem. Nieraz jeszcze o Bilsem nam mówić wypadnie, więc resztę uwag odkładamy na później.

Fuza.

WIEŃCZENIE DĘBU.

W dzisiejszych zwyczajach i drobnych obrzędach religijnych ludu naszego nieprózno badacze dopatrują się zabytków prastarych obyczajów pogańskiego jeszcze pochodzenia; jest to bowiem rzeczą niezawodną, iż wiele z nich zmieniło tylko sukienkę pozostając przy terminach, dniach obchodu i oznakach zewnętrznych.

Kapłani wprowadzający wiarę Chrystusową, nietylko w kraju naszym ale i we wszystkich innych, zostawiają ludowi dawne jego pamiątki, a przyodziewając je odnowioną postacią, tą drogą łatwiéj, skuteczniéj i szybciéj zdołali całe massy narodów zjednać nowéj wierze.

Niegdyś dęby i dąbrowy w całéj słowiańszczyznie nadbałtyckiéj doznawały czci, jako bogom poświęcone. Kronikarze opowiadają nam o takich miejscowościach na pomorzu bożkowi Prowemu poświęconych nadmieniając, iż w ogóle w miejscach obrzędów składano dary wszelkiego rodzaju ku uczczeniu bożyszcza.

Dziś czy to pośród drogi leśnéj, czy przy gościńcu czy w pobliżu mieszkań ludzkich nie madrzew, a zwłaszcza dębu okazalszego, abyśmy na nim nie spotkali wyobrażenia Bogarodzicy lub krucyfiksu za szkło oprawnego, częstokroć w kształcie małéj kapliczki usadowionéj między konarami drzewa, lub na grubym pniu umocowanéj; dziś też w rozmaity sposób lud prosty okazuje cześć i miłość swą tak uwidomionéj opiece Bozkiéj, do któréj się we wszelkich niebezpieczeństwach i radościach życia swego ucieka, a zdobiąc w pewne dnie uroczyste lub pamiętne te wyobrażenia kwiatami i wieńcami dołącza do tego czynu pobożności szczere a serdeczne modły.

BIBLIOGRAFIA.

Prawo postępu. Studyum przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego. Kraków 1872.—

Prawo postępu, oparte na przyrodniczych stosunkach i od nich całkowicie zależne, August Comte sformułował w następujących słowach: „Wszystkie nasze pojęcia, a przeto i pojęcia społeczne, któremi się rządzą towarzystwa ludzkie, przechodzą trzy kolejne stany w porządku określonym: stan teologiczny, stan metafizyczny i stan pozytywny. W stadyum teologiczném człowiek przenosi ideę, jaką ma o sobie, do świata zewnętrznego, i przypuszcza, że wszystkie objawy są wynikiem działalności istot albo osób podobnych do niego. W stadyum metafizyczném miejsce osób konkretnych, mniéj lub więcéj podobnych do człowieka, zajmują istoty abstrakcyjne. W stadyum nakoniec pozytywném, człowiek zdobywa wreszcie wiedzę rzeczywistego swego stanowiska w przyrodzie, rozumie ostatecznie, że całość objawów określa się własnościami ciał, z czego wynikają prawa niewzruszone i niezachwiane.“ Każda nauka, każde pojęcie ludzkie, przechodziły rzeczone stopnie.

Pan M., przyjmując powyższą formułę, uzasadnia ją i uzupełnia zarazem Darwinowém prawem wyboru (psychicznego i fizycznego), wyprowadzoném ze stosunków walki o byt. Prawo to, oraz *tradycya*, skupiająca wiedzę i jednocząca praktykę przeszłą z teraźniejszością celem wyprowadzenia praktyki przyszłéj, powodują niepodobieństwo wszelkiego zastoju lub cofania się wstecz i konieczność postępu, któréj podlega tak organizm człowieka, jak i organizm wszelkiego innego rozwoju.

Takie są główne tezy, zręcznie i jasno rozwinięte w studyum pana Masłowskiego. Wykład pozytywnego prawa postępu autor poprzedza przedstawieniem dziejowego rozwoju idei o postępie, wykazując kolejne stopnie, przez jakie przechodziła idea o społeczeństwie w głównych ustępach dziejowych, a raczéj rolę, jaką przyznawały filozofie teologiczna i metafizyczna jednostce ludzkiéj w zakresie objawów społecznych. Idea rodziny, *idea pokolenia tradycyjnego*, którego momentem statycznym jest gmina, i nareszcie idea stowarzyszenia społecznego stanowią trzy stadya rozwoju pojęć socyologicznych — chociaż rodzinę autor odnosi do biologii, nie widząc w niéj jeszcze społecznego pierwiastku. Daléj następuje klassyfikacya sześciu kategoryj, na które rozpadają się wszystkie objawy zewnętrznego świata, oraz hierarchia sześciu odpowiednich rzeczonym kategoryom nauk oderwanych (matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia i socyologia) i szereg hierarchiczny metod (metoda dedukcyjna, m. spostrzegawcza, m. doświadczalna, m. klassyfikacyjna, m. porównawczo-przestrzenna i m. porównawczo-dziejowa). Po sformułowaniu prawa postępu autor wykazuje, jak każda nauka, każde pojęcie przechodziły trzy określone w niém stadya. Stosuje się to i do przemysłu, którego klassyfikacyę autor podaje podług Robertiego (1. Zmiany miejsca czyli handel. 2. Zmiany mechaniczne i chemiczne materyi czyli przemysł rękodzielniczy. 3. Zmiany biologiczne materyi czyli rolnictwo. Nakoniec 4. zmiany idei i usług wzajemnych czyli sztuka społeczna). Stosuje się również do pojęć prawdy, dobra i piękna. Pan M. uzupełnia estetyczne zasady Comte'a, lecz bardzo niedokładnie. Przy definicyi piękna „jako własności dwóch zmysłów, wzroku i słuchu, która w pewnych i stale określonych stosunkach dźwięków, barw i linij znajduje swe zadowolenie“—gdzież będzie miejsce dla poezyi? Piękny jest ustęp o moralnéj stronie człowieka, składającéj się z dwóch czynników: egoizmu i altruizmu. Altruizm, czyli prościéj mówiąc, troska o innych występuje najprzód w rodzinie, następnie w społeczeństwie, a na końcu—dodajemy od siebie—rozszerza się na ludzkość całą. (Niesłusznie autor uważa ludzkość za czczą abstrakcyę, a w razie najlepszym biologiczne pojęcie o rodzaju... W zakresie faktów można mu wskazać missye chrześciańskie, lub wojny cywilizowanego świata z handlarzami murzynów). Nareszcie znajdujemy w studyum pana M. dobre streszczenie teoryi Darwina.

Niewiele jest oryginalnych poglądów w dziełku, o którém mówimy, chociażbyśmy do nich zaliczyli uwidocznienie związku, zachodzącego pomiędzy Comte'em i autorem dzieła: „O pochodzeniu gatunków“. Główną zasługę p. Masłowskiego widzimy w umiejętném streszczeniu bogatego materyału i w logicznym, jasnym wykładzie rzeczy. Życzymy odczytać to studyum wszystkim tym, którzy więcéj mówią o pozytywizmie niż wiedzą. Przyjaciele i nieprzyjaciele nowéj filozofii znajdą tam wiele niespodzianek. Jedni i drudzy dowiedzą się że filozofia pozytywna jest niczém więcéj, jak ogólną nauką zawierającą w sobie sześć nauk abstrakcyjnych; że tradycya jest warunkiem niezbędnym społecznego postępu; że gdzie nie istnieje altruizm, tam społeczeństwo nie ma podstawy bytu; że idealizacya jest niezbędnym warunkiem sztuki (idealizacyę określa Comte jako uwidocznienie głównych rysów i cech, które w rzeczywistości nikną w odmęcie empirycznym); że wszystkie produkcye estetyczne od najdawniéjszych czasów aż do dni dzisiejszych wykazują coraz większy jéj rozwój na niekorzyść ślepego naśladownictwa; że nakoniec idealizacya w obecnym czasie powinna być oparta na uwydatnieniu prawdziwie społecznych stron człowieka.

Szkoda, że przy tém wszystkiem autor nie wiedział,—a więc i innych nauczyć nie mógł, iż trzy studya Comte'owskie nie wytrzymały krytyki i zaniechane zostały przez samych pozytywistów późniejszych. Ale tak to u nas bywa: wyszłe z mody w Paryżu tkaniny przywożą się do nas jako najnowsza z nowości.



Chory był jeszcze przytomny. Jedna wychudzona ręka spoczywała na kołdrze, drugą przyciskał sobie piersi.
Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Мая 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.